

Barbara Lesz

SNY
LEŃNICH NOCY

Barbara Lesz

SNY
LEŃNICH nocu

© Copyright by Barabara Lesz

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan

ISBN 978-83-969553-3-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie II 2025



Rozdział I

Biblioteka w Sławicach była imponującym budynkiem liczącym pięć pięter wysokości i kilka kwartałów szerokości. Zbudowana została z białego marmuru. Jej front zdobiły kolumny oraz rzeźby stojące na gzymsie pod dachem, reprezentujące cztery cnoty: bogobojność, mądrość, powściągliwość i odwagę. Na podestach przy schodach stały cztery byki symbolizujące siłę ludzi, którzy założyli i zbudowali miasto.

Hol biblioteki był jasny, ze strzelistym sufitem sięgającym do samego dachu budynku. Stąd szerokie schody prowadziły na różne piętra. Pomieszczenia ze znajdującymi się w nich książkami oświetlało przytłumione światło przenikające przez bogato rzeźbione okna. Ich ściany zdobiły drewniane kolumny z ciemnego drewna. Każde z pomieszczeń składało się z wypełnionych regałami na książki dwóch pięter, pomiędzy którymi można było się przemieszczać po drewnianych, spiralnych schodach. Na środku, między regałami, stały gabloty z egzemplarzami różnych starych, głównie religijnych tekstów. Zapach rozchodzący się po bibliotece stanowił mieszanekę aromatu wiekowych stronic i pasty do pielęgnacji podłóg. Tu znajdowały się książki reprezentujące całą wiedzę wprawiającą miasto w ruch: od architektury, przez medycynę i handel, aż po teksty związane z wiarą.

Przygoda Swiety z biblioteką zaczęła się od wycieczek szkolnych. Już po pierwszej wizycie dziewczyna zakochała

się w niej i spędzała tu każdą wolną chwilę, a czasami nawet wagarowała, żeby uciec od zgiełku szkoły do cichych sal wypełnionych po sufit książkami. Najbardziej lubiła zaczytywać się w dziełach dotyczących różnych ludów zamieszkujących wsie i wioski znajdujące się poza granicami miasta, ich języka i wierzeń. Skoro nie mogła ich spotkać, ponieważ nikt nie mógł wyjść poza mury miasta, chociaż w ten sposób chciała jak najwięcej się o nich dowiedzieć.

Święta była akurat w dziale kultury i podążała za swoim ulubionym bibliotekarzem Sędzimirem, który ustawiał książki na swoich miejscach.

– Dostałam od matki kopię najnowszego „Przeglądu wierzeń ludów dzikich” – pochwaliła się.

– Tak, tak, jest na półce z nowymi książkami – odpowiedział bibliotekarz.

Uśmiechnęła się.

– Nie da się ciebie podejść. Chyba nigdy nie uda mi się przyjść z książką, której nie znasz.

Spojrzał na nią znad okularów.

– To moja praca – powiedział, nie rozumiejąc, że właśnie usłyszał komplement.

– Nie bądź taki skromny – powiedziała i po chwili spytała: – Idziesz na uroczystości Dnia Uzdrawienia?

Zerknął na nią zaskoczony, że mogła wpaść na tak niedorzeczny pomysł.

– Takie uroczystości nie są dla mnie. Dobrze, że groźby uczynienia ich przez głosicieli obowiązkowymi się nie sprawdziły.

– Oj, przestań! Wiadomo było, że tego nie zrobią, przecież większość mieszkańców przychodzi na obchody z ochotą – powiedziała podekscytowana Swieta.

– Słyszę owacje. Czy nie powinnaś już iść? – spytał Sędzimir.

Dziewczyna podbiegła do okna i zobaczyła tłumy ciągnące w kierunku głównej świątyni.

– Zasiedziałam się. Do zobaczenia! – krzyknęła, po czym zdała sobie sprawę z tego, że właśnie krzyknęła w bibliotecę, więc przycisnęła dłoń do ust, rozejrzała się dookoła i wyszła z sali najciszej, jak potrafiła. Bibliotekarz pokręcił głową i wrócił do pracy.

Swieta najpierw pobiegła do łazienki, bo była pewna, że jej włosy są jak zwykle rozczochrane i że nie wygląda dość reprezentacyjnie, żeby pójść na ceremonię Uzdrawienia. Lustro niemiłosiernie potwierdziło, że miała rację. Jej kasztanowe pukle były rzeczywiście w nieładzie, a luźne kosmyki opadały na twarz. Oczy miała aż czerwone z niewyspania, bo znowu czytała książkę do późnej nocy, schowana przed matką za łóżkiem, tak aby ta nie widziała światła z korytarza.

Dziewczyna wpatrzyła się w swoje tęczęwki. Każda z nich miała po dwa kolory: prawa była na zewnątrz zielona, z brązową plamą przypominającą słońce i promieniami rozchodzącymi się z jej centrum, lewa z kolei była niebieska z szarymi promieniami. Oczy przez całe jej życie były przedmiotem kpin i prześladowania ze strony większości rówieśników. Przez lata przyzwyczała się do braku popularności i samotnego życia. Znalazła kryjówkę w głównej bibliotece

miasta. Czasami czuła, że zna pracujące tam osoby lepiej niż własną matkę. Spędzała z nimi godziny na dyskusjach o lekturach, trwające często aż do zamknięcia biblioteki. Nie raz dostała burę od matki za późny powrót do domu.

Dziewczyna oddaliła się od lustra i spojrzała na siebie z profilu. Na szczęście jej suknia, wybrana specjalnie na święto, była nadal w dobrym stanie. Odgarnęła opadające kosmyki i włożyła je do luźno upiętego koka. Przygładziła włosy i sukienkę i wybiegła z łazienki.

Zbiegła z wysokich schodów biblioteki i wypadła na szeroką ulicę prowadzącą do głównej świątyni. Musiała przestać biec, bo tłum zrobił się zbyt gęsty. Szła wśród odświętnie ubranych, uśmiechniętych ludzi. Niektórzy panowie mieli na sobie swoje najczystsze i najrzadziej używane białe wełniane koszule, inni – misternie zdobione atłasowe kubraki. Panie odziane były z kolei w szare wełniane suknie lub takie z pięknymi zdobieniami. Święto Uzdrawienia było jedynym dniem, w którym biedni i bogaci mieszkańcy Sławic mieszały się ze sobą. Wszyscy byli tak podekscytowani, że zdawali się nie widzieć ludzi idących obok.

Tłum rozdzielił się i Swieta podążyła za ludźmi idącymi w prawą stronę. Wiedziała, że dojdą zaraz do letniego pałacu majora miasta, który znajdował się nad ogromnym, porośniętymi trziną stawem z kwitnącymi latem liliami wodnymi. Dookoła pałacu rozciągał się ogromny park otoczony żelaznym płotem. Nawet oddzielona od niego wieloma rzędami ludzi Swieta była w stanie wyczuć zapach setek różnokolo-

rowych róż. To właśnie pozostawało jej i większości idących obok niej ludzi, ponieważ dostęp do parku miały jedynie osoby z najbogatszych rodzin – mimo iż Swieta nie była wcale biedna, nigdy nie miała okazji go odwiedzić.

Pałac był tak okazały, że nawet zza płotu dało się podziwiać jego piękno. Białe jak śnieg, otoczony wysokimi kolumnami i rzezbami przedstawiającymi różne zwierzęta. Sąsiadował ze stawem tak, żeby rodzina majora mogła z niego korzystać, nie mieszając się z resztą odwiedzających. Korzystali oni również z własnej, odgródzonej od reszty parku części ogrodu, a przynajmniej takie chodziły plotki, bo nikt jej nigdy nie widział.

Tłum minął pałac i powoli złączył się w jedną olbrzymią rzekę. Swieta wyglądała zza głów ludzi i nadstawiała uszu, próbując ustalić, czy uroczystość już się zaczęła, ale w gwarze otaczających ją setek osób nie byłaby w stanie czegośkolwiek usłyszeć. Wreszcie doszli do świątyni i tłum stopniowo ustawiał się tak, aby jak najlepiej widzieć ceremonię.

Budynek świątyni był ogromny, większy niż oba pałace majora i jego rodziny. Był najwyższym budynkiem w mieście – według prawa żadna budowla nie mogła być od niego wyższa. Podobnie jak pałac majora, świątynia była zbudowana z białego marmuru i ozdobiona rzezbami i płaskorzezbami. Jej głównym atrybutem były wysokie schody symbolizujące długą i ciężką drogę, którą człowiek musi przejść do Boga. Na ich szczycie znajdowało się podium widoczne dla wszystkich zebranych.

Na szczęście okazało się, że Swieta nie spóźniła się na ceremonię, bo na scenie jeszcze nikogo nie było. Dziewczyna zaczęła rozglądać się z uśmiechem po placu zalanym świętującymi

trzymającymi w rękach misternie splecione różgi z kwiatów i chorągwie z symbolem głosicieli: złotym mieczem na tle słońca.

W końcu ze świątyni wyszli głosiciele i skierowali się w stronę podium. Byli ubrani w czerwone szaty, a ich przywódca nosił dodatkowo niebieskie nakrycie głowy z długim ogonem. Po chwili dołączyli do nich pomocnicy ubrani na szaro-niebiesko.

Wielki Głosiciel odchrząknął i począł przemawiać, a jego dźwięczny głos niósł się daleko ulicami i uliczkami miasta, wypełniając wszystkie jego zakamarki. Mówił o tym, że Jedyne Bóg Samowiel w swojej nieskończonej mądrości wystawia ludzi na próby, dlatego zsyła na nich choroby i nie daje im wiele w posiadanie na ziemi, żeby oddali się jemu. Jedyne właściwy sposób życia to poddanie się jego woli. Ludzie mają żyć w ubóstwie i chorobie, bo tak chce Samowiel. Nie powinno się z tym walczyć, ale pokornie to przyjąć – tak jak chory, którego Jedyne Bóg dzisiaj uzdrowi. Prawdziwie wierzący człowiek jest świadomy swojej kruchości, niedoskonałości i niemocy. Wie też, że Jedynemu Bogu zawdzięcza życie. Abyśmy o tym nie zapomnieli, Samowiel zsyła nam chorobę, biedę i utrapienia. Strach przed Jedynym Bogiem powinien dawać ludziom radość i pocieszenie.

Wielki Głosiciel wytłumaczył też zebranym, że życie jest chorobą, a dopiero śmierć to uzdrowienie i że tylko cierpiąc, zapracowując na łaskę. Wiedza o własnej mierności powinna sprawić, że człowiek zbliży się do Samowiel.

– Samowiel uzdrawia dziś, aby pokazać, że jest wszechmocny i litościwy, i przypomnieć, jak zależni jesteśmy od jego mocy – zakończył przemowę.

Pomocnicy kapłana zeszli po schodach i zniknęli w tłumie. Swieta wiedziała, że wybierają teraz chorego, którego Samowiel uzdrowi. Po chwili mężczyźni znaleźli się znowu w jej polu widzenia. Nieśli nosze z jakimś człowiekiem, niestety Swieta stała za daleko, żeby widzieć szczegóły. Pomocnicy głosicieli zatrzymali się i położyli nosze na podium, a Wielki Głosiciel pochylił się nad chorym i przyłożył mu rękę do ust.

– A teraz Samowiel w swojej wielkiej miłości uzdrowi tego człowieka.

Kapłan zdjął dłoń z chorego, a ten podniósł się na noszach, a potem chwiejnie wstał. Rozległy się wiwaty. Uzdrawiony mężczyzna obrócił się w stronę ludzi, a pomocnicy Wielkiego Głosiciela podnieśli go do góry za ramiona, tak aby mieszkańcy Sławic jeszcze lepiej mogli mu się przyjrzeć.

– Dobrzy ludzie, rozejdźcie się do swoich domów i świętujcie cud, którego dokonał Jedyne Bóg! – powiedział Wielki Głosiciel na zakończenie ceremonii.



Rozdział 2

Poruszona i ożywiona Swieta postanowiła wrócić do domu dłuższą drogą, którą lubiła, ponieważ wiodła ona obok studni życzeń. Dzień był przepiękny. Szła razem z tłumem, uśmiechając się do ludzi dookoła i pozdrawiając ich. Po pewnym czasie skręciła z głównej ulicy miasta i podążyła za tymi biedniej ubranymi. Z okien domów zaczęły dochodzić zapachy świątecznych kolacji: pieczonej wieprzowiny, buraków i świeżego, chrupiącego chleba. Na stołach rodzin w bogatych dzielnicach leżały zapewne kaczkі albo nawet przepiórki z targu. Dziewczyna słyszała, że sprowadzano je spoza granic miasta i przeznaczano wyłącznie dla rodzin z najwyższych warstw społeczeństwa. Jedynie ich służba miała dostęp do targu znajdującego się w części miasta graniczącej z murem. Biedota trzymała się głównie swoich dzielnic i wychodziła z nich tylko podczas świąt takich jak dzisiejsze.

W domu na Świętę czekała zapewne pieczona kaczka o złotej, chrupiącej skórce, purée z buraczków i zasmażana marchewka. No i oczywiście złocisty, żytni chleb z makiem pieczony specjalnie w środku dnia, bo w ten sposób masło na cieplej jeszcze kromce miękło i wsiąkało w jej biały, sprężysty środek. Ich gospodyni, Bogna, wiedziała doskonale, jak dogodzić Swiecie i rozpieszczała ją przy każdej okazji. Była jak członek rodziny – służyła jej matce jeszcze przed narodzinami dziewczyny.

Tłum zaczął rozchodzić się do domów i stawał się mniejszy. Wreszcie Swieta została prawie sama. W końcu dotarła do placzyku wybrukowanego dużymi, jasnymi kamieniami kontrastującymi z małymi, czerwono-brązowymi, którymi były wyłożone uliczki i place dzielnicy. Tu znajdowała się studnia życzeń, również zbudowana z jasnych kamieni, z daszkiem z czerwonej dachówki.

Dziewczyna zaczęła sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu grosików. Znalazła jeden i wrzuciła go do fontanny, wypowiadając cicho życzenie: chciała, aby w jej nudnym życiu wreszcie wydarzyło się coś, co przerwałoby jego monotony bieg. Kochała matkę, ale nie mogła znieść, że ta nie pozwalała jej na rzeczy, którymi zajmowali się młodzi w jej wieku, tłumacząc to jej słabym zdrowiem. Swieta marzyła o sprawdzeniu się w pracy i nawet czasem rozmawiała z pracownikami biblioteki o możliwości odbycia praktyk.

W pewnym momencie do dziewczyny podszedł płaczący chłopczyk.

– Co się stało? – spytała go.

– Kiedy wrzucałem grosik do fontanny, wpadł mi do studni mój medalik. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc, ale może ty spróbujesz?

– Poczekaj, spojrzę, może wpadł tylko za kratę – odpowiedziała dziewczyna i pochyliła się, a chłopczyk zerwał jej z szyi łańcuszek z naszyjnikiem i rzucił się do ucieczki.

Swieta krzyknęła z zaskoczenia i biegiem ruszyła za chłopcem przez kręte, wąskie uliczki, które wiły się wśród kamiennych, dwupiętrowych domów o kolorze piasku. Musiała

wielokrotnie całkowicie zmieniać kierunek i zbiegać po stromych schodach. Z różnobarwnych okien domostw dobiegały zapachy świątecznych obiadów, a na ławeczkach przed budynkami siedzieli podchmieleni mężczyźni i palili fajki. Chłopiec znał okolicę dużo lepiej niż ona i po pewnym czasie zgubiła go. Nie miała pojęcia, w którą stronę pobiegł.

Zrobiło się popołudnie i słońce schowało się częściowo za budynkami. Swieta zdała sobie sprawę, że oddaliła się znacznie od studni, a jeszcze bardziej od domu, i prawie nie poznawała, gdzie jest. Odwróciła się w kierunku, który wydawał jej się prawidłowy i zaczęła iść przed siebie zrezygnowana. Nie musiała już kluczyć wśród budynków. Znalazła szerszą uliczkę i szła w stronę studni. Stamtąd potrafiła już dotrzeć do domu. Usłyszała gwar i krzyki i zobaczyła, że dochodzi do jakiejś tawerny. Kiedy zbliżyła się do niej, ujrzała stojących przed nią trzech mężczyzn. Kłócili się. Na widok dziewczyny ucichli i wpatrywali się w nią z zainteresowaniem, a na ich ustach pojawiły się brzydkie uśmiechy.

– Co tu robisz, kotku, zgubiłaś się? – spytał jeden z nich. Na głowie miał podarty brązowy kapelusz.

– Nie – odpowiedziała śmiało i próbowała ich ominąć, ale inny z mężczyzn, ubrany w zgrzebny płaszcz, złapał ją za suknię.

– Nie tak szybko, mówimy do ciebie! – Ten w kapeluszu prawie krzyknął.

– Przepraszam, ale ja naprawdę chcę tylko pójść do domu – powiedziała Swieta, coraz bardziej zdenerwowana.

Ten z kapeluszem zbliżył się do niej, wyciągnął nóż i przyłożył go do jej brzucha, tak aby przechodzący obok ludzie

nie zauważyli, co się dzieje. Objął ją ramieniem i popchnął w stronę zaułka za tawerną, który był całkowicie zacieniony.

– Chyba jednak pójdziesz z nami, prawda? – Raczej stwierdził, niż spytał.

– Tak, tak, przepraszam – odpowiedziała przerażonym głosem.

Weszli do ślepo zakończonej uliczki, a budynek karczmy prawie całkowicie ukrył ich przed oczyma ludzi przechadzających się po ulicy.

– Wyglądasz zbyt porządnie na to, żeby tu mieszkać. Zgubiłaś się? – spytał trzeci z mężczyzn.

Przełknęła ślinę.

– Goniłam kogoś, kto mnie okradł – powiedziała drżącym głosem.

Mężczyźni zaczęli się śmiać.

– Okradł? A to rozczarowanie. Czyli nie masz niczego, co mogłabyś nam podarować? – spytał jeden z mężczyzn.

– Nie mam...

– Szkoda, nie chcielibyśmy być zmuszeni cię skrzywdzić – przerwał jej mężczyzna z nożem, po czym przyłożył go do jej gardła.

Poczuła ból. Coś ciepłego spłynęło jej po szyi. Nagle jej ręce zaczęły drżeć i buchnął z nich ogień. Ubranie mężczyzny, który dopiero co groził jej nożem, zajęło się od wysokich płomieni. Swiecie zrobiło się słabo, ale udało jej się odtrącić mężczyzn i zaczęła uciekać. Jeden z bandytów wyrwał się z osłupienia i ruszył za nią.

– Czarownica! Mroczne sztuczki! – krzyczał.

Kilkoro ludzi przechodzących obok zainteresowało się sceną i przystanęło. Świeta ominęła ich i zaczęła biec jeszcze szybciej. Goniący ją mężczyzna wpadł na jedną z kobiet przyglądających się zdarzeniu i upadł.

– Łapcie ją! – wrzasnął, ale na zewnątrz na szczęście zdążyło się zrobić ciemno i na ulicy prawie nikogo nie było.

Po kilku minutach Swiecie udało się dobiec do studni. Szybko skierowała się w stronę domu. Ciasne mieszkanka biedoty powoli ustępowały pokaźniejszym, wolnostojącym kamienicom, a zgrzebnie ubranych ludzi zastąpili przedstawiciele klasy średniej, ubrani w eleganckie, świąteczne stroje. Kiedy dziewczyna dochodziła do domu, rozszlochała się. Naszyjnik, który straciła, był jej bardzo bliski. Otrzymała go w prezencie od matki i nigdy nie zdejmowała. Nie pamiętała w ogóle czasu, kiedy go jeszcze nie miała.

Świeta wbiegła do domu i zaczęła gorączkowo przeszukiwać pokoje, nawołując matkę. Krzyczała tak długo i głośno, aż ta wybiegła z pokoju przerażona.

– Co się stało, kochanie?

– Okradli mnie! – rzuciła dziewczyna i znowu się rozszlochała, aż zabrakło jej powietrza.

Matka przytuliła ją i zaprowadziła na kanapę.

– Kto cię okradł? – spytała.

– Okradł mnie chłopiec, a potem kilku mężczyzn chciało... – wybąkała Świeta.

– Co ci ukradł?

– Naszyjnik. A potem pojawił się ogień i krzyczeli za mną, że jestem czarownicą.

Dziewczyna wybuchła płaczem i nie była w stanie niczego więcej powiedzieć. Matka spojrzała na nią z przerażeniem i dotknęła jej szyi, jakby próbowała się upewnić, że naszyjnika rzeczywiście tam nie ma. Ręce kobiety zaczęły się trząść, ale po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zdecydowania.

– Chodź, kochanie, nie przejmuj się.

Weszły do kuchni i matka otworzyła szafę, w której trzymała różne maści i medykamenty. Wyciągnęła skórzaną sakiewkę i wysypała z niej kilka zielonych tabletek. Podeszła do zlewu i nalała do szklanki trochę wody.

– Masz, to na uspokojenie – podała Swiecie szklankę. – Odpoczniesz trochę.

Wzięła dziewczynę za rękę i zaprowadziła ją do jej pokoju. Swieta usiadła na łóżku i próbowała coś powiedzieć, ale język stanął jej kołkiem i nie była w stanie wycedzić ani jednego słowa. Zrobiło jej się słabo i straciła przytomność.